

NAVA EBRAHIMI

przeł. Monika KONEFON i Alicja POLEK

Received: 10.09.2023, Accepted: 10.09.2023

doi: <http://10.29015/cerem.985>

Das Scheppern, wenn der Ball die metallene Elektroheizung trifft; sollte ich in zehn oder zwanzig Jahren an diese Zeit zurückdenken, an die Corona-Auszeit auf der Hütte, dann werde ich dieses Geräusch im Ohr haben.

In Gedanken versunken gehe ich durch die Stube, in Gedanken an diesen Text, den ich am Abend schreiben werde. „Mama, geh bitte aus dem Tor“, schreit mein älterer Sohn. Mein jüngerer Sohn trifft mich von hinten mit dem Ball am Oberschenkel. Heute haben sie bestimmt schon drei Stunden Fußball gespielt auf einem Raum, der etwas größer ist, als unser abgewetzter Perserteppich. Mag sein, dass es in den Bergen erträglicher ist, wenn in der Zivilisation die Krise ausbricht und Polizisten in den Parks patrouillieren, aber in den Bergen kann man nicht Fußball spielen.

Ich gehe zurück in die Küche, schaue auf mein Handy, eigentlich möchte ich nur wissen, wie viel Uhr es ist, wann mein Mann endlich nach Hause, auf die Hütte, kommt, wann ich mit dem Text anfangen kann, den ich im Geiste schon formuliere und von dem ich die Hälfte schon wieder vergessen habe. Doch dann sehe ich noch nach, ob es eine neue Amazon-Bewertung für mein Buch gibt, ob auf Instagram ein weiterer Blogger eine Besprechung gepostet hat, wie viele Corona-Fälle an diesem Tag in Graz gezählt werden. Der Ball trifft die Vasen, die auf dem Bauernschrank stehen. Zwei fallen um, aber das ist bereits mehrmals passiert heute und ich rühre mich nicht mehr, lasse sie liegen. Ich habe ein neues Like für das Video von meinem Interview mit RBB Kultur. Tag Eins der Quarantäne. Ich frage mich, ob ich es schaffen werde, diese Zeit sinnvoll zu verbringen, mit viel Lesen, vielleicht sogar Schreiben, mit morgendlichem Yoga, Frühjahrsputz, Waldspaziergängen oder noch besser: Waldbaden. Ob wir endlich einmal mit unseren Kindern basteln werden. Ob wir es schaffen werden, eine neue Routine zu finden, ob wir nachher sagen können, es hatte auch etwas Gutes, Entschleunigung, Besinnung.

Jeśli za dziesięć czy dwadzieścia lat będę wracała myślami do covidowej przerwy w górskiej chacie, będę mieć w uszach metaliczny dźwięk elektrycznego grzejnika, w który uderza piłka.

Zatopiona w myślach chodzę po pokoju, myśląc o tekście, który napiszę tego wieczoru. – Mamo, proszę, zejdź z bramki – krzyczy starszy syn. Młodszy trafia mnie z tyłu piłką w udo. Dzisiaj grali pewnie ze trzy godziny w piłkę na przestrzeni niewiele większej od naszego wytartego, perskiego dywanu. Być może w górach jest znośniej, gdy cywilizacja przeżywa kryzys, a policja patroluje parki, ale w górach nie można grać w piłkę.

Wracam do kuchni, patrzę na telefon, właściwie chcę tylko zobaczyć, która jest godzina, kiedy mąż wreszcie wróci do domu, kiedy będę mogła zacząć pisać stworzony w myślach tekst, którego połowę już zapomniałam. Ale potem sprawdzam jeszcze, czy na Amazonie pojawiła się nowa ocena mojej książki, kolejny blogger zamieścił recenzję na Instagramie oraz ile przypadków covidu odnotowano tego dnia w Grazu. Piłka uderza w wazony stojące na rustykalnej szafie. Dwa się przewracają, ale tak stało się już dzisiaj kilka razy, nie zwracam na to uwagi, niech leżą. Mam nowego lajka dla wideo z moim wywiadem w radio RBB Kultur. Pierwszy dzień kwarantanny. Zastanawiam się, czy uda mi się ten czas spędzić sensownie, na czytaniu, może nawet pisaniu, porannej jodze, wiosennych porządkach, spacerach po lesie, a jeszcze lepiej: na kąpielach leśnych*. Czy w końcu pobawimy się z dziećmi. Czy uda nam się znaleźć nowe zajęcia, czy będziemy mogli po wszystkim powiedzieć, że było w tym też coś dobrego, jakaś refleksja, wyhamowanie.

*Shinrin-yoku – leśna kąpiel – oznacza spędzanie czasu w lesie, żeby być zdrowszym, szczęśliwszym i spokojniejszym.

Ob. wir werden sagen können, dass wir zusammengewachsen sind, als Familie, aber auch insgesamt als Gesellschaft.

Mir fällt das Corona-Tagebuch ein, ich fange wieder an, Sätze im Kopf zu formulieren. Ich werde mit dem Donnerstag vergangener Woche beginnen, mit meinem letzten Tag in Berlin. Ich sitze mit Freunden beim Vietnamesen und mein Mann schreibt mir, ich solle den nächsten Zug nach Graz nehmen. Er schickt mir einen Link zu einem Artikel im Standard mit. Sebastian Kurz appelliert an alle Österreicherinnen und Österreicher, „heimzukommen“. Verzögert verstehe ich, dass auch ich gemeint bin. Der Ausdruck „heimkommen“ löst augenblicklich etwas in mir aus. Ein Gefühl flutet mich, eine starke Sehnsucht nach meiner Familie, ein archaisches Bedürfnis sie zu umarmen und abzukapseln von der Welt. Ein Hauch von Panik. Filiz, bei der ich übernachtete, sitzt kurze Zeit später vor mir auf einem Stuhl, ich liege bereits auf dem ausgezogenen Bettsofa unter der Decke, mir fallen schon die Augen zu, aber ich lasse Filiz nicht gehen. Ich habe Angst, einzuschlafen, aufzuwachen und zu lesen, dass alle Grenzen dicht sind. Neue beunruhigende Nachrichten, wie sie uns derzeit stündlich erreichen.

Filiz redet mir gut zu und verabschiedet sich, ihre Katze betrachtet mich eine Weile unentschlossen und folgt ihr schließlich. Ich schlage mein Buch auf und lese ein paar Zeilen. Die Stelle, die ich ein paar Tage zuvor gelesen habe, fällt mir wieder ein. Ich blättere zurück. „Damals hatte ich einfach Angst vor dem Augenblick, an dem ich das Licht auslöschen und zu Bett gehen musste. Den ganzen Abend hindurch saß diese Angst mit mir am Tisch (...) Und jeden Abend musste ich doch endlich zu Bett gehen.“ Die Kontinuität versöhnt mich ein wenig. Ich lösche das Licht, falle in den Schlaf, aber nicht tief, bleibe nahe an der Oberfläche und tauche schon um sechs Uhr wieder auf, ganz von allein. Auf dem Weg zur U-Bahnstation Herrmannplatz kommen mir ältere Männer entgegen, die schon jetzt so mitgenommen aussehen, ich betrachte die Gesichter, gezeichnet von jahrzehntelangem Nikotin- und Alkoholkonsum, und ich frage mich, ob sie Corona überleben werden. Ich zwinge mich damit aufzuhören. Eine Stunde zu früh sitze ich am Hauptbahnhof in Berlin, ein weiterer älterer Mann, nicht ungepflegt, aber mit zu vielen Rucksäcken für sein Alter, setzt sich neben mich. Er möchte sich mit mir unterhalten, er ist freundlich, ich bin freundlich, aber ich wende mich ihm nicht zu und verabschiede mich, obwohl ich immer noch dreißig Minuten Zeit habe.

Czy będziemy mogli powiedzieć, że zżyliśmy się jako rodzina i jako społeczeństwo.

Przypominam sobie o „Dzienniku covidowym”, znów zaczynam układać zdania w głowie. Zacznę od czwartku w zeszłym tygodniu, moim ostatnim dniem w Berlinie. Siedzę z przyjaciółmi w wietnamskiej restauracji, gdy mąż pisze, żebym wsiadała do następnego pociągu do Grazu. Przesyła mi link do artykułu w dzienniku „Der Standard”. Kanclerz Sebastian Kurz apeluje do wszystkich Austriaków, żeby „wracali do domu”. Po chwili rozumiem, że chodzi również o mnie. Wyrażenie „powrót do domu” od razu coś we mnie wyzwała. Zalewa mnie uczucie silnej tęsknoty za rodziną, archaiczna potrzeba przytulenia jej i odizolowania się od reszty świata. Odrobina paniki. Filiz, u której nocuję, siedzi chwilę później na krześle przede mną, leżę pod kołdrą na rozłożonej wersalce, oczy mi się kleją, ale nie pozwałam Filiz odejść. Boję się zasnąć, obudzić i przeczytać, że wszystkie granice są zamknięte. Nowe niepokojące wiadomości, które teraz docierają do nas co godzinę.

Filiz próbuje mnie uspokoić i w końcu wychodzi, jej kot patrzy na mnie przez chwilę niezdecydowanie i w końcu za nią idzie. Otwieram książkę i czytam kilka linijek. Przypominam sobie fragment, który przeczytałam kilka dni temu. Wracam do tamtego miejsca. „W owym czasie bałam się po prostu chwili, kiedy będę musiała zgasić światło i położyć się do łóżka. Przez cały wieczór strach siedział ze mną przy stole (...) Ale każdego wieczoru musiałam w końcu iść do łóżka.”** Ta ciągłość trochę mnie uspokaja. Gaszę światło, zapadam w niezbyt głęboki sen, trzymam się blisko powierzchni i wynurzam ponownie już o szóstej, sama z siebie. W drodze do metra przy Herrmannplatz zbliżają się do mnie starsi mężczyźni, którzy wyglądają na wyniszczonych, patrzę na ich twarze naznaczone dekadami spożywania alkoholu i nikotyny, zastanawiam się, czy przeżyją pandemię. Zmuszam się, żeby przestać o tym myśleć. Godzinę przed czasem siedzę na dworcu głównym w Berlinie, obok mnie siada inny starszy mężczyzna, w miarę zadbany, z dużą ilością plecaków jak na swój wiek. Chce ze mną rozmawiać, jest miły, ja też, ale nie reaguję i zegniam się, choć mam jeszcze trzydzieści minut do odjazdu.

** „Ściana” Marlen Haushofer, przeł. Zofia Kania

Der Zug ist, entgegen der Prognose „starke Auslastung“, ziemlich leer. Ich fotografiere die freien Sitze rechts und links von mir und schicke die Fotos meiner Mutter, weil ich weiß, dass sie das beruhigt. Meine Mutter und mein Stiefvater; sie haben die Kinder, während ich unterwegs bin, obwohl es seit zwei Tagen heißt, man solle die Enkel von den Großeltern fernhalten. Aber ich wollte nach Berlin fahren, ich wollte im taz Studio lesen, ich wollte die Interviews mit Radio Bremen und RBB Kultur führen. Noch mitnehmen, was zu holen ist an Aufmerksamkeit für mein neues Buch. Wieder ein Hauch von Panik, als ich daran denke, dass es vielleicht diese zwei Tage zu viel gewesen sein könnten. Das Buch, das ich lese, liegt zugeschlagen auf meinem Tisch. Die Frau schräg links hinter mir tippt mich an. „Die Wand, ein super Buch, ich konnte es gar nicht mehr zur Seite legen“.

Ich höre die schwere Holztür, die ein wenig verzogen ist und die man immer zuwuchten muss. Mein Mann kommt mit einer Papiertüte herein, stellt die Tüte ab. „Die Regale sind leer, aber ich habe alles bekommen“, sagt er. Er küsst die Kinder, die ihr Fußballspiel nicht unterbrechen, kommt zu mir zurück, öffnet die Külschranktür, nimmt sich ein Bier. „Nichts als Panik und Stress heute in der Firma, gib mir fünfzehn Minuten.“ Er setzt sich mit dem Bier auf die Bank vor der Hütte und schaut in den Himmel, der dunkelblau leuchtet. Ich beobachte ihn durch das Fenster. Er nimmt einen Schluck und atmet tief aus. Gleich werden die Sterne zu sehen sein, so hell, wie sie in der Stadt nie zu sehen sind, und ich frage mich, ob er das auch heute wieder bemerken wird.

23. März 2020

Die kalten Füße, wenn mein jüngerer Sohn im Morgengrauen zu mir unter die Daunendecke schlüpft; sollte ich in zehn oder zwanzig Jahren an diese Zeit zurückdenken, dann werde ich mich an diese Füße auf meiner warmen Haut erinnern...

...so sollte mein zweiter Tagebucheintrag beginnen, formal angelehnt an den ersten, und überhaupt, alle meine Tagebucheinträge könnten so beginnen, dachte ich mir heute Nachmittag noch, mit einem sinnlichen Eindruck, der dann eine Brücke schlägt zu existenziellen Fragen, zu welcher genau, das hätte ich mir noch überlegen müssen, aber in Zeiten wie diesen ziehen die existenziellen Fragen ja regelmäßig wie beim Running Sushi an einem vorbei, da hätte ich mir schon noch rechtzeitig eine herausgegriffen. Am Ende wäre ein netter Text

Pociąg, wbrew zapowiedziom, jest całkiem pusty. Robię zdjęcia wolnych miejsc obok mnie i wysyłam je mamie, wiedząc, że to ją uspokoi. Mama i ojczym opiekują się dziećmi podczas mojej nieobecności, pomimo że od dwóch dni mówi się, żeby trzymać wnuki z dala od dziadków.

Ale ja chciałam pojechać do Berlina, przeczytać fragmenty mojej książki w studiu Tageszeitung, udzielić wywiadu Radio Bremen i RBB Kultur. Chciałam skierować jak najwięcej uwagi na moją najnowszą powieść. Znowu odrobina paniki, gdy pomyślę, że może o te dwa dni za dużo. Książka, którą właśnie czytam, leży zamknięta na stoliku. Kobieta po lewej stronie za mną lekko mnie szturcha – „Ściana”, świetna, nie mogłam się od niej oderwać. –

Słyszę ciężkie drewniane drzwi, trochę wypaczone, którymi trzeba zawsze trzasnąć. Wchodzi mój mąż z papierową torbą, odkłada ją. – W sklepach pustki, ale mam wszystko – mówi. Całuje dzieci, które nie przerywają gry w piłkę, wraca do mnie, otwiera lodówkę, wyciąga piwo. – Dzisiaj w pracy panika i stres, daj mi piętnaście minut. – Siada z piwem na ławce przed chatą i patrzy w niebo, które jarzy się ciemnoniebieskim blaskiem. Obserwuję go przez okno. Bierze łyk, oddychając głęboko. Za chwilę będzie widać gwiazdy, tak jasne, jak nigdy w mieście, zastanawiam się, czy dziś również to zauważy.

23 marca 2020 r.

Jeśli za dziesięć czy dwadzieścia lat będę wspominać ten czas, będę miała w pamięci zimne stopy młodszego syna, który o świcie wsuwa się do mnie pod puchową kołdrę...

...tak powinien zacząć się mój drugi wpis do dziennika, formalnie wzorowany na pierwszym, pomyślałam sobie tego popołudnia. W ogóle wszystkie moje wpisy mogłyby się tak zaczynać, od wrażeń zmysłowych, które stanowią pomost do pytań egzystencjalnych, do jakich konkretnie, musiałbym się jeszcze zastanowić, lecz w obecnym czasie pytania egzystencjalne krążą wokół nas regularnie jak obrotowe sushi, więc w porę wybrałabym jakieś dla siebie.

Na końcu powstałby przyjemny tekst, który estetyzowałby moją codzienność w

herausgekommen, der meinen Alltag hier auf der Hütte ästhetisiert hätte, ein wenig Idylle, trügerisch natürlich, ein wenig Bedrohung, Details für das große Ganze.

Aber dann war mir doch nicht danach. Oder genauer: Ich habe es nicht zustande gebracht. Ich bin derzeit nicht in der Lage, etwas zu erschaffen. Meine Gedanken sind so unstrukturiert wie meine Tage, so unartig wie meine Kinder. Sie sind launisch, halten nie still, laufen weg, streiten ohne Ende, verpetzen einander, überfallen mich in den unpassendsten Momenten. Schlafen nachmittags ein, liegen abends wach. Essen nie auf, wollen aber den ganzen Tag verköstigt werden.

Jetzt ist es 21.30 Uhr, in zweieinhalb Stunden muss ich diesen Text abgeben, ich trage noch immer meinen Pyjama, in dem ich am Nachmittag übrigens auch Schlitten fahren war, und ich esse eine Tüte Chips, weil ich das Abendessen heute ausfallen ließ, wobei das Wort „Abendessen“ schon fremdartig klingt in meinen Ohren. Die Hoffnung auf Besinnung und Entschleunigung habe ich zu Beginn der zweiten Woche Ausgangssperre bereits aufgegeben. Und obwohl jeder weiß, wie wichtig ein geregelter Tagesablauf in Krisenzeiten ist, kriege ich nicht einmal das hin. Ich habe außerdem noch kein einziges Mal Yoga gemacht, keine einzige von den unzähligen Bastelideen mit den Kindern ausprobiert, weder gegärtner noch musiziert, noch nicht einmal die Hütte auf Vordermann gebracht. Ich lasse sogar die Spinnen in ihren Netzen sitzen anstatt sie wegzusaugen, dabei war das früher immer die erste Handlung, wenn ich die Hütte betrat. Doch jetzt bin ich selbst dazu zu träge, und außerdem fällt mir einfach nicht mehr ein, weshalb wir hier ein Aufenthaltsrecht besitzen sollten und die Spinnen nicht.

Und ich hänge viel zu viel am Smartphone, denn ich vermisse meine Freundinnen und Freunde, mir fehlen Menschen, ich brauche sie offenbar dringender, als mir bewusst war, ich brauche Nachbarn, Spielplatzbekanntschaften, Supermarktkassiererinnen, die Bedienungen in meinen Lieblingscafés, Postboten, Straßenkehrer. Ich brauche die Stadt. Auch in Zeiten von Corona empfinde ich die Nähe und den Lärm fremder Menschen als sinnstiftend geradezu.

tej górskiej chacie, trochę sielanki, zwodniczej oczywiście, trochę zagrożenia, kilka szczegółów dla dopełnienia obrazu.

Ale potem się rozmyśliłam. Albo dokładniej: nie dałam rady. Obecnie nie jestem w stanie nic stworzyć. Moje myśli są nieuporządkowane jak moje dni, niegrzeczne jak moje dzieci. Cały czas są głośno, kapryszą, biegają, kłócą się bez końca, donoszą na siebie, napadają na mnie w najmniej odpowiedniej chwili. Po południu śpią, wieczorem nie mogą zasnąć. Nigdy nie zjadają do końca, ale wciąż chcą coś do jedzenia.

Jest 21:30, za dwie i pół godziny muszę oddać ten tekst, wciąż mam na sobie piżamę, w której zresztą po południu jeździłam na sankach, jem chipsy, bo nie było dziś kolacji, przy czym słowo „kolacja” brzmi teraz obco w moich uszach. Już na początku drugiego tygodnia, w którym obowiązuje zakaz przemieszczania się, porzuciłam nadzieję na refleksję i zwolnienie tempa. Chociaż wiadomo, jak ważna jest codzienna rutyna w czasach kryzysu, nawet z tym nie daję sobie rady. Ani razu nie ćwiczyłam jogi, nie wypróbowałam z dziećmi żadnego z niezliczonych pomysłów na prace plastyczne, nie pracowałam w ogrodzie, nie grałam na instrumencie, nawet nie wysprzątałam domku. Zostawiam nawet pajęczyny, zamiast je odkurzyć, choć kiedyś była to pierwsza rzecz, jaką robiłam po wejściu.

Teraz jestem na to zbyt leniwa, poza tym nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego my mielibyśmy mieć prawo tu przebywać, a pająki nie. Siedzę zbyt dużo na telefonie, bo tęsknię za przyjaciółmi, brakuje mi ludzi, najwyraźniej potrzebuję ich bardziej niż zdawałam sobie sprawę, potrzebuję sąsiadów, znajomych z placu zabaw, kasjerek z supermarketu, kelnerek z ulubionych kawiarni, listonoszy, zamiataczy ulic. Potrzebuję miasta. Nawet w czasach pandemii bliskość i dźwięki wywoływane przez obcych ludzi są dla mnie kojące, niemal nadają wszystkiemu sens.

Heute Morgen schlüpfte also mein jüngerer Sohn mit kalten Füßen zu mir unter die Daunendecke. Er schläft hier nachts unruhiger, wälzt sich herum und deckt sich ab. Und er träumt viel. „Ich habe geträumt, ich war mit der Oma in der Stadt und wir haben Pizza gegessen“, sagte er, bevor er wieder einnickte. Ich blieb wach. Der Satz hallte in mir nach wie ein Echo aus einer anderen Zeit. Wie schnell das alte Leben, die Routine aller Tage, verblasste. In die Stadt gehen, Oma treffen, Pizza essen, das alles erschien mir in diesem Moment unerreichbar. Ich war gerührt von den Worten, die mein Sohn schlaftrunken von sich gegeben hatte, und ich befürchtete schon, ich könnte in Selbstmitleid abgleiten, doch stattdessen nahm ich es hin. Ich nahm hin, dass alles war, wie es war. Ist, wie es ist. Und so nehme ich auch hin, dass ich daran gescheitert bin, die erste Woche der Ausgangsperre optimal zu nutzen. Ein kleiner Erfolg.

30. März 2020

Wir sind wieder in der Stadt.

Ich nehme an der Krise teil.

Ich habe nicht mehr das Gefühl, der letzte Mensch zu sein.

Und ich kann mich wieder mit dem Schreiben beschäftigen.

Oder ich fange erst einmal mit Wörtern an. Mit einem Wort: übergriffig.

Ich hörte dieses Wort zum letzten Mal am Dienstag, den 10. März. Ich frage mich, wie es weitergehen wird mit diesem Wort.

Am 10. März kündigte die Regierung die ersten einschneidenden Maßnahmen gegen das Coronavirus an. Unis, FH, Theater, Kinos wurden geschlossen, Veranstaltungen mit mehr als 100 Personen verboten. Es war das erste Mal, dass ich Beklemmung spürte. Aber dieses Wort fiel noch in der alten Zeitrechnung. Restaurants hatten noch geöffnet, ich saß mittags mit zwei Freundinnen beim Inder. Eine sagte, sie hätte es übergriffig gefunden, dass uns eine weitere Freundin am Tag zuvor nachdrücklich per WhatsApp dazu aufgefordert hatte, das aktuelle Interview mit dem Star-Virologen Christian Drosten zu hören. Diese Freundin war dann, also am 9. März, im Gegensatz zu uns, nicht beim Sterne-Konzert aufgetaucht, wo wir unter anderem die neue Nummer „Du musst gar nix“ gehört und beim Tanzen fremde Menschen berührt hatten.

Das Wort „übergriffig“ erzeugt seit jeher Abwehr in mir. Das liegt daran, dass ich aus einer iranischen Familie stamme und so ziemlich alles, was in iranischen

A więc dziś rano mój młodszy syn wsunął się do mnie pod puchową kołdrę, miał zimne stopy. W nocy śpi tu niespokojnie, wierci się i odkrywa. Dużo mu się śni. – Śniło mi się, że byłem z babcią w mieście na pizzy – powiedział, po czym znów zasnął. Ja nie mogłam. To zdanie pobrzmiwało we mnie jak echo dawnych czasów. Jak szybko wyblakło tamto życie, rutyna minionych dni. Wypad do miasta, spotkanie z babcią, wizyta w pizzerii, wszystko to wydaje się w tym momencie nieosiągalne. Byłam poruszona słowami, które mój syn wypowiedział w półśnie, zaczęłam się obawiać, że się rozkleję, ale zamiast tego zaakceptowałam ten stan. Pogodziłam się z tym, że nic jest takie, jakie było. Jest tym, czym jest. Przyjmuję również do wiadomości, że nie udało mi się w pełni wykorzystać pierwszego tygodnia zakazu przemieszczania. Drobny sukces.

30 marca 2020 r.

Wróciliśmy do miasta.

Biorę udział w kryzysie.

Nie mam już poczucia, że jestem ostatnim człowiekiem na ziemi. Znowu mogę zająć się pisaniem.

Albo na początek zacznę od słów. Od słowa natarczywy.

Ostatnio słyszałam je we wtorek, 10 marca. Jestem ciekawa, co z nim dalej będzie. 10 marca rząd ogłosił pierwsze radykalne środki przeciwko koronawirusowi. Zamknięto uniwersytety, uczelnie zawodowe, kina, teatry, zakazano organizowania imprez na więcej niż sto osób. Wtedy po raz pierwszy poczułam niepokój. Ale słowo to padło jeszcze w innej epoce, gdy restauracje były otwarte, jadłam lunch z dwiema koleżankami w indyjskiej restauracji. Jedna z nich powiedziała, iż uważa za natarczywe, że inna przyjaciółka nagabywała nas dzień wcześniej przez WhatsApp do wysłuchania najnowszego wywiadu z gwiazdą wirusologii Christianem Drostenem. Nie pojawiła się również, w przeciwieństwie do nas, 9 marca na koncercie „Die Sterne”, gdzie usłyszeliśmy między innymi nowy utwór „Du musst gar nix” i w tańcu dotykaliśmy obcych ludzi.

Słowo „natarczywość” zawsze wywoływało we mnie postawę obronną. To dlatego, że pochodzę z irańskiej rodziny i prawie wszystko, co u nas jest

Familien normal ist, hier im Westen als übergriffig bezeichnet wird. Das könnte mir egal sein, wenn mein Mann zu Beginn unserer Beziehung nicht jede zweite Handlung meiner Mutter als übergriffig empfunden hätte, was zu zahlreichen Konflikten führte. Er hat diese inzwischen als – aus seiner Sicht – übertriebene Gesten der Fürsorge akzeptiert und verwendet aus Rücksicht auf mich das Wort nicht mehr. Aber mir scheint, es hat sich in den vergangenen Jahren überall hineingefressen, in alle Formen von Beziehungen. Es wird inflationär eingesetzt, längst nicht mehr nur dann, wenn jemand unsere Intim- oder Privatsphäre verletzt. Wer etwas als übergriffig brandmarkt, muss sich kaum noch erklären; schon, dass es subjektiv als übergriffig empfunden wird, reicht aus. Das Wort allein ist ein Argument, es ist sogar ein Totschlagargument. Es wird oft auch eingesetzt, wenn Komfortzonen bedroht, wenn echte Auseinandersetzungen um die Freiheit des Einen und die Grenzen des Anderen nicht gewollt sind. Manche tun auch Interesse am Mitmenschen oder simple soziale Interaktion mit einer leicht nervösen Gereiztheit als Übergriffigkeit ab.

Harald Martenstein empört sich etwa in einer seiner Kolumnen über die Übergriffigkeit, die er darin erkennt, dass sich Bedienungen in Restaurants danach erkundigen, welches Buch er liest, während er auf die Mahlzeit wartet. Ist das nicht etwas Schönes, dass sich Kellnerinnen und Kellner für Literatur interessieren?

Über Martenstein empöre ich mich jetzt aber nicht, ich will auf etwas anderes hinaus. Ich stimmte meiner Freundin beim Inder nicht zu. Es war die Sorge um uns, als Einzelne und als Gesellschaft, die diese andere Freundin dazu gebracht hatte, uns das Drosten-Interview dringlich zu empfehlen. Und die Tatsache, dass sie allein nicht in der Lage war, das Worst-Case-Szenario mit sehr vielen Toten zu verhindern.

Und jetzt sitzen wir hier, drei Wochen später, von der Regierung notwendigerweise übergriffig in die vier Wände verbannt, darin bevormundet, wen wir treffen dürfen und wen nicht, die Polizei kann uns bestrafen, wenn wir mit Freund oder Freundin durch die Stadt spazieren oder uns nach Hause schicken, wenn unser Verhalten im Park zu gesellig wirkt. Ein falscher Schritt an der Käsetheke im Supermarkt, eine zu freudige Begrüßung auf der Straße, ein Schnaufen in die falsche Richtung beim Joggen kann ein Menschenleben kosten. Ein Virus, die übergriffigste aller Entitäten, führt uns auf radikale Weise vor

normalne, na Zachodzie uznawane jest za natarczywość. Mogłabym się tym nie przejmować, gdyby mój mąż na początku naszego związku nie uznawał prawie każdej reakcji mojej matki za natarczywość, co prowadziło do licznych konfliktów. W międzyczasie zaakceptował ją – w swoim mniemaniu – jako wyraz przesadnej troski i ze względu na mnie nie używa już tego słowa. Ale wydaje mi się, że ostatnio wżarło się ono we wszystko, we wszystkie relacje. Używa się go nadmiernie, już od dawna nie tylko w sytuacji, gdy ktoś narusza naszą intymność lub prywatność. Jeśli ktoś uważa, że coś jest natarczywe, nie musi się w ogóle tłumaczyć.

Wystarczy fakt, że coś jest subiektywnie tak postrzegane. Samo słowo jest argumentem, żelaznym argumentem. Jest ono również często używane w sytuacji, gdy zagrożona jest nasza strefa komfortu, gdy niepożądane są dyskusje na temat czyjejs wolności i stawiania granic drugiej stronie. Niektórzy irytują się i traktują zainteresowanie bliźnim lub zwykłe społeczne interakcje jako natarczywość.

Harald Martenstein oburza się w jednym z felietonów na natarczywość obsługi w restauracjach, która pyta go, jaką czyta książkę, czekając na posiłek. Czyż to nie piękne, że kelnerzy i kelnerki interesują się literaturą?

Nie oburzam się jednak teraz na Martensteina; chodzi mi o coś innego.

Nie zgadzam się z przyjaciółką z indyjskiej restauracji. To właśnie troska o nas, o jednostkę i społeczeństwo, sprawiła, że tamta przyjaciółka gorąco poleciła nam wywiad z Drostenem. Sama nie była w stanie zapobiec najgorszemu scenariuszowi z wieloma ofiarami.

Teraz, trzy tygodnie później, siedzimy tutaj, z powodu nadgorliwości rządu, zamknięci w czterech ścianach, narzuca się nam, z kim wolno się spotykać, policja może nas ukarać, że chodzimy po mieście z przyjaciółmi lub odesłać do domu, jeśli spotkamy się w parku w zbyt licznej grupie. Niewłaściwy krok przy ladzie z serami w supermarkecie, zbyt radosne przywitanie na ulicy, oddech w niewłaściwym kierunku podczas joggingu może kosztować ludzkie życie. Wirus, najbardziej natarczywa istota, pokazuje nam bez reszty, jak bardzo jesteśmy od siebie zależni, jak splecione są nasze losy. Jestem gotowa, potrafię

Augen, wie abhängig wir voneinander, wie verwoben unsere Schicksale sind. Ich bin so weit, ich kann von Wort auf Satz erhöhen. Sätze, die klingen wie aus einer anderen Zeit:

„Ich war mit der Oma in der Stadt und wir haben Pizza gegessen.“

„Das ist übergriffig.“

30. April 2020

Die Leiterin des Literaturhauses Köln hat mir heute geschrieben, die Lesung am 19. Mai ist nun endgültig abgesagt, oder besser ins Netz verlegt, aber na ja. Ich hätte fast geweint, erstaunlicherweise das erste Mal seit Beginn des Lockdowns. Darauf, in Köln lesen zu können, habe ich seit Jahren hingearbeitet, schon während ich an meinem ersten Buch schrieb, oder vielleicht schon, als ich vor acht Jahren aus Köln wegzog und noch keine Zeile geschrieben hatte, sah ich mich in Gedanken mit einem Buch und wehenden Fahnen in Köln einreiten, ich wage sogar, nach Köln „heimzukehren“ zu sagen. Heimkehren ist ein krasses Wort in meinen Ohren. Es gehört eigentlich nicht in meine Welt, und überhaupt, es ist aus der Zeit gefallen, ein aufgeklärter Mensch wie ich sollte alle Essays zum Thema „Heimat“ gelesen haben, jedoch längst kein Bedürfnis mehr danach verspüren. Aber ich entblöße mich jetzt selbst, auch, um hier ein wenig authentisches Tagebuchfeeling zu verbreiten, und gestehe: Im Moment der Veröffentlichung meines Debüts sehnte ich mich danach, meinen Roman an einen vertrauten Ort zu tragen und zu präsentieren wie ein Neugeborenes. Ich wollte Freunde, Bekannte, Verwandte versammelt sehen, wollte in ausschließlich mir wohlgesonnene Gesichter blicken, wollte, dass mein ehemaliger Deutschlehrer in der ersten Reihe sitzt und jedem zuraunt, dass er es eh schon immer gewusst habe.

Aber mein erstes Buch erschien, und nichts dergleichen geschah. Keine Lesung in Köln (in Graz auch nicht, aber darunter litt ich damals noch nicht). Ich fühlte mich wie unglücklich verliebt, fragte mich, ob mein Heimweh nach Köln vielleicht nur eingebildet sei, mit welchem Recht ich für mich beanspruchte, Kölnerin zu sein. Ich war nicht in Köln geboren, meine Eltern heißen Jalileh und Iraj und nicht Annemie und Jupp, und zusätzlich hatte ich die Stadt einige Jahre mit Hamburg betrogen. Ich hörte sogar auf, an Karneval nach Köln zu fahren, weil ich fürchtete, dieses Ereignis plötzlich, mit meiner neuen Distanziertheit, ebenso bescheuert zu finden wie der Rest der Menschheit.

wzniesić się od słowa do zdania. Zdania, które brzmią, jakby pochodziły z innych czasów:

– Byłem w mieście z babcią i jedliśmy pizzę.

– To dopiero natarczywe wyobrażenie.

30 kwietnia 2020 r.

Kierowniczka Domu Literatury w Kolonii napisała mi dziś, że wieczór autorski 19 maja ostatecznie odwołano, lub inaczej to ujmując: przeniesiono do sieci, ale cóż. Prawie się rozplakałam, o dziwo pierwszy raz od początku lockdownu. Od lat pracowałam na to, żeby mieć wieczór autorski w Kolonii, już kiedy pisałam pierwszą książkę, albo może już kiedy osiem lat temu stamtąd się wyprowadziłam, nie napisawszy jeszcze ani linijki, oczyma wyobraźni widziałam, jak triumfalnie wkraczam do Kolonii z książką, odważę się nawet powiedzieć, że powracam do mojej „małej ojczyzny”. Jest ona w moich uszach mocnym słowem. Nie należy ono właściwie do mojego świata i w ogóle wypadło już z obiegu, oświecony człowiek, tak jak ja, powinien przeczytać wszystkie eseje na temat „ojczyzny”, lecz już od dawna nie odczuwać za nią tęsknoty. Odsłaniam się teraz, również po to, aby oddać tutaj autentyczną atmosferę dziennika i przyznaję: w chwili publikacji debiutanckiej książki tęskniłam, aby zabrać ją w bliskie mi miejsce i pokazać jak nowonarodzone dziecko. Chciałam zobaczyć przyjaciół, znajomych i krewnych zebranych w jednym miejscu, ujrzeć wyłącznie przyjazne mi twarze, chciałam, żeby mój dawny nauczyciel niemieckiego usiadł w pierwszym rzędzie i szeptem mówił wszystkim, że od zawsze wiedział, że tak będzie.

Lecz moja pierwsza książka się ukazała i nie takiego nie miało miejsca. Nie było wieczoru autorskiego w Kolonii, (w Grazu też nie, ale wtedy jeszcze tak nie cierpiałam z tego powodu). Czulałam się jak nieszczęśliwie zakochana, zadawałam sobie pytanie, czy tylko wmawiam sobie tęsknotę za Kolonią i jakim prawem domagam się bycia Kolonką. Nie urodziłam się tam, moi rodzice nazywają się Jalileh i Iraj, a nie Annemie i Jupp, a w dodatku zdradzałam to miasto przez kilka lat z Hamburgiem. Przestałam nawet jeździć do Kolonii na karnawał, gdyż obawiałam się, że z daleka zacznę nagle uważać to wydarzenie za coś głupiego – tak jak większość ludzi.

Ich durchlebte die fünf Phasen der Trauer, an deren Ende die Akzeptanz stand. Ich habe keine Heimat – wer bitte hat so etwas noch? –, aber ich lebe an einem Ort und an diesem Ort häufe ich Tage, Wochen, Monate, Jahre an.

Die fast verdrückte Träne zur Absage der Kölner Lesung; reine Sentimentalität, ich weiß. Aber ich kann nicht anders, diese Absage nehme ich dem Virus echt übel.

7. Mai 2020

Die Hausaufgaben der aktuellen Woche sind Muttertagsgedicht auswendig lernen, Muttertagsblumenstrauß ausmalen, Muttertagsbillet basteln, ausschneiden, beschriften. Ich kann mich nicht entscheiden: dass jetzt allerorts Mütter die Herstellung ihrer eigenen Schema-F-Präsente betreuen, ist das entlarvender für die Bildungs- oder die Familienpolitik?

Muttertag lässt mich eher kalt, also würde es mir nichts ausmachen, mit meinem Sohn diese Hausaufgaben corporate identity zu erledigen, ich sehe das ganz pragmatisch, dachte ich.

Das Billet in Herzform schiebe ich bis Donnerstag auf.

Am Abend zuvor habe ich mir ein Glas Rotwein genehmigt und jetzt prompt Kopfschmerzen. Ich bastle nicht gern und mein Sohn auch nicht. Trotzdem kann ich nicht dabei zusehen, wie er das Blatt Papier nicht genau wie laut Anleitung in der Mitte faltet. Ich falte es für ihn und radiere mehrmals das Herz aus, das er immer wieder asymmetrisch aufmalt, herrje, das kann doch nicht so schwer sein. Ausschneiden geht verhältnismäßig gut. Ich sage: Jetzt sollst du da in das Herz fünf Sätze hineinschreiben, wofür du mir dankbar bist. Er reagiert nicht, fragt stattdessen, ob er nach den Hausaufgaben etwas schauen darf. Schreib jetzt fünf Sätze dazu auf, wofür du mir danken willst, wiederhole ich, und zwar ordentlich! Ich löse eine Kopfschmerztablette auf, setze mich, nehme mir die Tageszeitung, versuche, nicht hinzusehen, tue es dann doch, lese: „Danke, dass du mich so fiel (sic) fernsehen lässt“. Ich springe auf. Das fällt dir als Erstes ein? Er blickt mich mit großen Augen an. Manche Kinder dürfen gar nicht fernsehen, sagt er kleinlaut. Ich weiß nicht, ob ich lachen oder weinen soll, verlasse die Küche und ziehe mir im Schlafzimmer die Decke über den Kopf. Wenn es noch eines letzten Beweises meines Scheiterns als Mutter bedurfte, voilà, da ist er. Ich bin viel zu ungeduldig, schimpfe viel zu oft, beschäftige mich viel zu wenig mit ihnen. Jeden

Przeszłam przez pięć faz żałoby, z akceptacją na końcu. Nie mam ojczyzny – kto niby ma jeszcze coś takiego? – ale żyję w jakimś miejscu i tu mnożę dni, tygodnie, miesiące, lata.

Ta prawie uroniona łza spowodowana odwołaniem wieczoru autorskiego w Kolonii to czysty sentyment, wiem. Ale nie potrafię inaczej, naprawdę mam je wirusowi za złe.

7 maja 2020 r.

Zadania domowe w tym tygodniu to nauczenie się na pamięć wiersza na Dzień Matki*, namalowanie bukietu i zrobienie laurki. Nie mogę się zdecydować: czy fakt, że teraz wszystkie matki zajmują się rutynową produkcją prezentów dla samych siebie, obnaża bardziej słabość systemu szkolnictwa czy polityki rodzinnej?

Dzień Matki jakoś specjalnie mnie nie rusza, więc w ramach corporate identity nie przeszkadzała mi odrobienie zadania z synem, patrzę na to całkiem pragmatycznie, pomyślałam.

Przygotowanie laurki w kształcie serca odkładam do czwartku. Poprzedniego wieczoru pozwoliłam sobie na lampkę czerwonego wina i teraz boli mnie głowa. Nie lubię prac plastycznych, mój syn też nie. Mimo to nie mogę patrzeć, jak zgina kartkę niedokładnie na środku – jak w instrukcji. Zginam ją za niego i wielokrotnie zmazuję serce, które syn za każdym razem maluje niesymetrycznie, o ludzie, przecież to nie może być aż tak trudne. Wycinanie idzie mu stosunkowo dobrze. Teraz powinienem napisać w sercu pięć zdań, za co jesteś mi wdzięczny. Nie reaguje, zamiast tego pyta, czy może coś pooglądać po odrobieniu zadania. Napisz teraz pięć zdań, za co chcesz mi podziękować, powtarzam, i to starannie! Rozpuszczam tabletkę od bólu głowy, siadam, biorę gazetę, próbuję nie podglądać, lecz i tak to robię „Dziękuję, że pozwalasz mi czensto (sic) oglądać telewizję”, czytam. Zrywam się. Czy to pierwsza rzecz, jaka przychodzi ci do głowy? Patrzy na mnie, robiąc wielkie oczy. Niektóre dzieci w ogóle nie mogą oglądać telewizji, mówi z zakłopotaniem. Nie wiem, czy mam się śmiać czy płakać, wychodzę z kuchni i w sypialni naciągam sobie kołdrę na głowę. Jeśli był potrzebny ostateczny dowód mojej porażki jako matki, proszę, oto on. Jestem zbyt niecierpliwa, za często krzyczę, za mało zajmuję się dziećmi. Każdego wieczoru od ośmiu tygodni przed zaśnięciem mam silne postanowienie, że jutro

* W Austrii i w Niemczech Dzień Matki obchodzi się zawsze w drugą niedzielę maja.

Gesichtsschutzschild und den Worten „Du bist so groß geworden!“ und mir schießen die Tränen in die Augen, das tun sie leider immer in Situationen wie dieser, ich bin froh, Sonnenbrille und Maske zu tragen, ja, er ist groß geworden, neun Wochen sind vergangen, eine Ewigkeit für einen Vierjährigen und ein Fingerschnalzen für eine Einundvierzigjährige, selbst im Ausnahmezustand, aber die Tränen kommen nicht nur wegen des Ausnahmezustands, sondern auch oder vor allem, weil die Zeit vergeht, und Kinder machen das unleugbar, ich kann die Augen nicht davor verschließen, kann nicht ignorieren, dass die großen Zehen vorne die Lederpatschen auswölben, vor neun Wochen passten sie noch, jetzt werde ich neue kaufen müssen, während ein weiteres Paar ausgedient hat und auf dem Haufen abgetragener Kinderschuhe landet, den ich immer noch nicht zur Caritas gebracht habe.

Vom Kindergarten aus gehe ich ins Café, wähle einen Tisch in der Ecke und klappe den Laptop auf. Mehrere Stunden freie Zeit liegen vor mir. Niemand wird mich unterbrechen. Ich kann schreiben. Ich könnte. Ich tippe einen Satzanfang, lösche ihn wieder. So sehr mich die Kinder zeitweise genervt haben in den vergangenen Wochen, so seltsam scheint mir jetzt, dass es normal sein soll, die Kinder fremden Menschen mit Gesichtsschutzschild zu überlassen, um einen Beruf auszuüben.

Mein Beruf existiert nur in den Momenten, in denen ich schreibe. Seit Beginn des Lockdowns habe ich, bis auf die Corona-Tagebücher, nichts zustande gebracht. Es ist, als hätte ich keinen Beruf. Es gibt auch kein Gebäude, keine Kollegen, keine Chefin, keine Corporate Identity, noch nicht einmal einen ordentlichen Schreibtisch, in dem sich mein Beruf manifestieren könnte. Während alle Eltern mit systemrelevanten Berufen die Kinder schon vor Wochen wieder in den Kindergarten brachten und dann die Eltern folgten, die arbeiten gehen mussten, überlege ich mir, ob mein jüngerer Sohn mit seiner Anwesenheit, seinem kleinen Körper zusätzlich den Raum füllen und Abstand halten erschweren muss. Wie relevant ist es, dass ich schreibe? Für mich selbst sehr, aber wie relevant ist es für die Gesellschaft? Das ist derzeit das Maß aller Dinge. Kultur als Ganzes ist relevant für die Gesellschaft, natürlich, aber wie relevant bin ich als einzelne Schreibende? Ist diese Frage erlaubt? Oder ist das wie Mikado spielen: Wer sich diese Frage zuerst stellt, hat verloren? Nein, es ist anders. Wenn wir uns vereinzeln lassen, haben wir verloren.

napływają łzy do oczu, zawsze tak się dzieje w podobnych sytuacjach, cieszę się, że noszę okulary przeciwsłoneczne i maseczkę, tak, urósł, minęło dziewięć tygodni, wieczność dla czterolatka i okamgnienie dla czterdziestojednolatki, nawet w stanie wyjątkowym, ale łzy nie pojawiają się wyłącznie z tego powodu, lecz przede wszystkim dlatego, że czas przemija i dzieci są na to żywym dowodem. Nie mogę zamknąć oczu i udawać, że tego nie ma, nie mogę zignorować faktu, że na skórzanych kapciach widać ślady dużych palców, dziewięć tygodni temu jeszcze były dobre, teraz będę musiała kupić nowe, tamta para się zużyła i wylądowała na stosie znoszonych butów dziecięcych, których ciągle jeszcze nie oddałam do Caritasu.

Z przedszkola idę do kawiarni, wybieram stolik w rogu i otwieram laptopa. Mam przed sobą kilka godzin wolnego czasu. Nikt nie będzie mi przerywać. Mogę pisać. Mogłabym. Piszę początek zdania i je kasuję. Tak bardzo jak dzieci denerwowały mnie w ostatnich tygodniach, to teraz pozostawienie ich obcym ludziom w przyłbicach tylko po to, by móc wykonywać swoją pracę, wydaje się równie osobliwe.

Mój zawód istnieje tylko w chwilach, w których piszę. Od początku lockdownu oprócz „Dzienników covidowych” niczego nie napisałam. Wygląda to tak, jakbym nie miała pracy. Nie ma również firmy, kolegów z pracy, szefowej, corporate identity, nawet porządnego biurka, przy którym manifestowałaby się moja profesja. Rodzice wykonujący zawody kluczowe dla gospodarki przyprowadzali swoje dzieci do przedszkola już kilka tygodni temu, później przyszła kolej na rodziców, którzy musieli chodzić do pracy, a ja zastanawiam się, czy mój młodszy syn musi swoją obecnością dodatkowo wypełniać przestrzeń i utrudniać trzymanie odstępów. Na ile istotne jest to, że piszę? Dla mnie samej bardzo, ale jak ważne jest to dla społeczeństwa? To jest teraz miarą wszystkich rzeczy. Kultura jako całość jest istotna dla społeczeństwa, oczywiście, ale jaką wartość wnoszę ja jako osoba pisząca? Czy to pytanie jest dozwolone? A może to jest jak z grą w bierki, przegrywa ten, kto pierwszy stawia sobie pytanie? Nie, jest inaczej. Przegramy, jeśli damy się odizolować.

Ein Literaturkritiker sagte kürzlich im Radio, Corona werde vermutlich zu einer Art Bereinigung auf dem Buchmarkt führen, die die Vielzahl an Titel auf eine vernünftige Zahl reduziere. Ich weiß nicht mehr, ob er wirklich „vernünftig“ sagte, vielleicht sagte er auch „angemessene“ oder „sinnvolle“ oder „wirtschaftliche“, aber es läuft auf das Gleiche hinaus, und ich bin mir nicht sicher, ob er diese Aussage auch auf Belletristik oder hauptsächlich auf Sachbücher bezog. Aber seine Aussage zieht die Frage nach sich: Wer ist zu viel? Wen kann sich, will sich die Gesellschaft leisten, wen nicht?

Zu viele Fragezeichen, ich weiß. Mir fehlen die Gespräche. Mir fehlt die Resonanz.

Aber es gibt auch Erkenntnisgewinn. Dank Helena Adler bin ich endlich draufgekommen, dass die Auswahl aus den Corona-Tagebüchern chronologisch angeordnet ist. Bisher dachte ich, die Anordnung folgt jedes Mal einer Dramaturgie, die es zu entschlüsseln gilt. Ich bin natürlich ebenfalls am liebsten ganz oben, aber dafür meistens einfach zu spät dran.

22. Mai 2020

Etwas hat sich verändert. Ende der Woche fällt es mir zum ersten Mal auf. Wir sitzen vor der Hütte, Matthias hat die Wiese halb gemäht und ein Bier in der Hand, ich auch, die Sonne erreicht uns noch gelegentlich durch die Baumwipfel, die der Wind hin- und herwiegt, wir hören die Kinder gedämpft und die Vögel glasklar, reden nichts, bis ich sage: Schön ist es. Und Matthias sagt: Genießen wir es. Wer weiß, ob wir die Hütte in sechs Monaten noch besitzen. Dann schweigen wir wieder.

23. Mai 2020, Vormittag

In der Welt, die eine Woche alt ist, lese ich den Briefwechsel zwischen Dirk von Lowtzow und Ilma Rakusa. Ein Briefwechsel wäre auch etwas Feines, denke ich mir, passt besser zu mir als Twitter, vielleicht sollte ich mir jemanden suchen, aber es kann ja nicht irgendjemand sein, ein bisschen gemeinsame Wellenlänge braucht es schon. Gerade jetzt täte mir das gut, mir fehlt bei dem Tagebuch die Resonanz, nicht umsonst habe ich nie Tagebuch geschrieben, immer nur Briefe, die ich manchmal zwar nicht abschickte, aber allein das Adressieren erfüllte einen Zweck. Die Resonanz fällt hier eher mager aus, Ansätze, zu kommunizieren gibt es, verlaufen aber meist im Sand. Dennoch ist ein Band

Krytyk literacki powiedział niedawno w radio, że pandemia doprowadzi prawdopodobnie do swego rodzaju korekty na rynku wydawniczym, która zmniejszy ilość tytułów do rozsądnej liczby. Już nie pamiętam, czy naprawdę powiedział „rozsądnej” czy może też „odpowiedniej” lub „sensownej”, lub „ekonomicznej”, ale wychodzi na to samo i nie jestem pewna, czy odnosił się do beletrystyki czy głównie do książek popularnonaukowych. Ale jego wypowiedź pociąga za sobą pytanie: kogo jest za dużo? Na kogo społeczeństwo może sobie pozwolić, a na kogo nie? Zbyt wiele znaków zapytania, wiem. Brakuje mi rozmów. Brakuje mi odzewu.

Ale dowiedziałam się również czegoś nowego. Dzięki Helenie Adler wreszcie wpadłam na to, że „Dzienniki covidowe” są uporządkowane chronologicznie. Dotychczas myślałam, że kolejność podąża każdorazowo za jakąś dramaturgią, którą należy rozszyfrować. Oczywiście też lubię być na samym początku, ale najczęściej po prostu nie zdążam.

22 maja 2020 r.

Coś się zmieniło. Dostrzegam to po raz pierwszy pod koniec tygodnia. Siedzimy przed chatką z piwem w rękę, Matthias skosił łąkę do połowy, słońce dociera do nas przez wierzchołki drzew, którymi porusza wiatr, słyszymy przytłumione głosy dzieci i bardzo wyraźnie ptaki, milczymy do momentu, w którym mówię: Pięknie tu. Rozkoszujemy się tym, dodaje Matthias. Kto wie, czy za pół roku jeszcze będziemy mieli tę chatkę. Potem znów milczymy.

23 maja 2020 r., przedpołudnie

W „Die Welt” z zeszłego tygodnia czytam korespondencję Ilmy Rakusy i Dirka von Lowtzowa. Myślę, że wymiana listów byłaby przyjemną sprawą, pasuje do mnie bardziej niż Twitter. Może powinnam sobie kogoś znaleźć, ale to nie może być przecież ktokolwiek, powinniśmy nadawać na tych samych falach. Właśnie teraz dobrze by mi to zrobiło, podczas prowadzenia dziennika brakuje mi odzewu, nie bez powodu nigdy nie pisałam pamiętnika, zawsze tylko listy, których czasem wprawdzie nie wysyłałam, ale już samo adresowanie spełniało swoją funkcję. Odzew jest tutaj raczej słaby, są próby komunikacji, ale najczęściej kończą się niepowodzeniem. Mimo to powstała między nami więź,

Abend seit acht Wochen nehme ich mir vor dem Einschlafen fest vor, mich morgen ausschließlich ihnen zu widmen, jeden Tag versage ich. Mehrmals habe ich mich in jüngster Zeit tagträumend erwischt; wie hätte ich diese Zeit kinderlos verbracht? Ich stelle es mir schön vor, auch wenn ich weiß, dass auf Autor_innen ohne Familie ein anderer Druck lastet (und wir insgesamt sowieso alle wahnsinnig privilegiert sind, das vergisst gerade niemand anzufügen, und es stimmt ja auch, aber es klingt immer mehr nach Selbstbeschwörung).

Anfang Februar, weiß ich noch, blickte ich mit gemischten Gefühlen auf meinen vollen Kalender. Buchmesse, Buchpremiere, Italien-Lesereise, mehrmals Deutschland. Alles toll. Aber es würde ein einziges Klinken-in-die-Hand-geben mit Matthias werden und ich sah schon das schlechte Gewissen winken. Ich sollte jetzt, laut Plan, eigentlich ein schlechtes Gewissen haben, weil ich zu viel weg bin, stattdessen habe ich eins, weil ich zu viel da bin und meine Kinder nicht mehr aushalte. Ich nehme mir die Bettdecke vom Kopf.

Mein Sohn sitzt in der Küche, schreibt, die Augenbrauen zusammengekniffen, die Zungenspitze herausgestreckt. Das Herz ist vollgeschrieben. Den ersten Satz hat er ausradiert und ersetzt durch „Danke, dass du dich um mich kümmerst“. Er sieht mich an, fragt: Hast du eben gelacht oder geweint? Ich drücke ihm einen Kuss auf die Stirn und leere das Glas mit der Kopfschmerztablette. Hätte ich über den Satz doch einfach nur lachen können.

18. Mai 2020

Die Kinder sind heute schon um 6.30 Uhr aufgewacht. Um 7 Uhr sitzen sie am Frühstückstisch und können vor lauter Aufregung nichts essen. Sie ziehen sich in Rekordzeit an und fragen dauernd: „Wann gehen wir endlich los?“. Zeit fürs Haare gelen hat der Große aber schon noch. Er zieht sich die neuen Sneaker an, die er gestern Abend nach einmaligem Tragen geputzt hat, und ruft mir zu, dass er im Treppenhaus auf mich warte. Ihm ist es peinlich, dass ich ihn am ersten Schultag begleiten will. Der Kleine fragt auf dem Weg zum Kindergarten drei Mal, ob er Abstand halten müsse. Nein, kleine Kinder müssen nicht Abstand halten, aber wenn es geht, doch, zumindest zu den Betreuerinnen, also irgendwie schon. Aber Corona ist weg, sagt er. Nein, ja, fast, aber es könnte zurückkehren. Der Große ist schneller im Schulgebäude verschwunden als ich Tschüss sagen kann. An der Tür zum Kindergarten begrüßt uns eine Betreuerin mit einem

poświęcę się im bez reszty i każdego dnia zawodzę. W ostatnim czasie wielokrotnie złapałam się na myśli, jak spędzałabym ten czas, gdybym nie miała dzieci. Wyobrażam to sobie jako coś pięknego, mimo że wiem, że na pisarkach bez rodziny ciąży inna presja. (i tak jesteśmy wszyscy szalenie uprzywilejowani, nikt nie zapomina tego dodać, i to rzeczywiście prawda, ale brzmi to bardziej jak zaklinalanie rzeczywistości).

Pamiętam, że na początku lutego spoglądałam z mieszanymi uczuciami na wypełniony kalendarz. Targi książki, premiera powieści, trasa promocyjna po Włoszech, wiele odczytów w Niemczech. Naprawdę super. Ale oznaczałoby to mijanie się z Matthiasem w drzwiach, już wyobrażałam sobie te wyrzuty sumienia. Powinnam teraz, jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, mieć wyrzuty sumienia, że za długo jestem poza domem, zamiast tego mam tylko jeden, że zbyt dużo w nim przebywam i nie mogę już wytrzymać z dziećmi. Ściągam kódrę z głowy.

Mój syn siedzi w kuchni, pisze, zmarszczył brwi i wystawił język. Serce jest całe zapisane. Wymazał pierwsze zdanie i zastąpił je innym: „Dziękuję, że się o mnie troszczysz“. Patrzy na mnie, pytając – Śmiałaś się teraz czy płakałaś? – Całuję go w czoło i wypijam wodę z rozpuszczoną tabletką od bólu głowy. Z tego zdania można się było tylko śmiać.

18 maja 2020 r.

Dzieci obudziły się dziś już o 6:30. O 7:00 siedzą przy śniadaniu i nie mogą jeść z podekscytowania. Ubierają się w rekordowym tempie, ciągle pytając – Kiedy wreszcie wychodzimy? – Starszy znajduje jeszcze czas, aby nanieść żel na włosy. Wkłada nowe adidasy, które wyczyścił wczoraj po jednym noszeniu, i woła, że zaczeka na mnie na klatce. To dla niego obciach, że chcę mu towarzyszyć w pierwszym dniu szkoły. Młodszy w drodze do przedszkola pyta trzy razy, czy musi zachować dystans. Nie, małe dzieci nie muszą, ale jeśli istnieje taka możliwość, to tak, przynajmniej w stosunku do wychowawczyń, czyli jednak tak. Ale koronawirusa już nie ma, mówi. Nie, tak, prawie, ale mógłby wrócić. Starszy zniknął w budynku, zanim zdążyłam się pożegnać. Przy drzwiach do przedszkola wita nas wychowawczyni w przyłbicy – Jak ty urosłeś! – a mnie

entstanden zwischen uns, ein sehr loses zwar, aber immerhin, ich habe Freunde, aus deren Leben habe ich in den vergangenen Monaten weniger mitbekommen als aus dem einiger Mitschreibender. Dass ich ein Bandengefühl entwickelt habe, merke ich immer dann, wenn jemand in den sozialen Medien oder im Feuilleton leicht abschätzig von den „ganzen CoronaTagebüchern“ schreibt, die angeblich überall aus dem Boden geschossen seien.

Unzählige sind auch schon wieder eingegangen und überhaupt, wir sind anders.

25. Mai 2020

Am 4. Juni werde ich im Literaturhaus Graz lesen. Ich kann es noch gar nicht glauben, daher versuche ich aus Selbstschutz es zu verdrängen und noch am 4. Juni bis 18.30 Uhr so zu tun, als wäre es ein Abend wie jeder andere. Doch dann wird mein Handy aufleuchten und „Lesung Graz“ anzeigen und ich werde es zunächst verwerfen, wie ich alle aufleuchtenden Lesungstermine in den vergangenen zwei Monaten verwarf, doch dann wird es mich treffen wie ein Schlag. Ich werde vom Esstisch aufspringen, mir schnell etwas Vorzeigbares überwerfen, mich daran erinnern, dass mein Outfit nicht nur von Kopf bis Brusthöhe gut aussehen muss, ich werde nach Monaten mal wieder etwas Makeup auftragen, mich aufs Fahrrad schwingen, kurz nach 19 Uhr ankommen, über das Absperrband steigen und mich sogleich aufs Podest setzen. Dort wird sich mein Puls normalisieren und ich werde in die Gesichter blicken, jedes einzelne betrachten, in jedem bekannte Züge suchen, bis mich die Moderatorin anstupst und fragt, ob ich mit der Lesung beginnen wolle und ich sagen werde: Lesung? Aber ja, natürlich.

29. Mai 2020

Wir sind das erste Mal, seitdem all das begonnen hat, mit Freunden in der Wohnung von Freunden. Eigentlich wollten wir picknicken, aber das Wetter war nicht so. Wir unterhalten uns, ich sitze auf der Couch, die anderen auf Lehnssesseln oder auf dem Boden, und falle dauernd allen ins Wort. Dieser Ausdruck ist so treffend! Ich haste und stolpere durchs Gespräch, richte mich auf und stürze erneut, immer mitten in den Satz eines Anderen hinein. Ich habe so viel zu erzählen und verlernt, mich zu zügeln.

wprawdzie bardzo luźna, ale zawsze coś, mam przyjaciół, o których życiu w ostatnich miesiącach wiem dużo mniej niż o życiu pozostałych osób prowadzących dziennik. To poczucie więzi zauważam wtedy, kiedy ktoś w mediach społecznościowych lub w felietonie pisze trochę pogardliwie o tych wszystkich „Dziennikach covidowych”, które rzekomo pojawiają się jak grzyby po deszczu.

Wiele z nich zdążyło już zniknąć, ale z nami jest inaczej.

25 maja 2020 r.

4 czerwca będę czytała w Domu Literatury w Grazu. Nadal nie mogę w to uwierzyć, więc żeby się chronić, staram się to wyprzeć i 4 czerwca do 18:30 udawać, że to wieczór jak każdy inny. Ale wtedy mój telefon się zaświeci i pokaże informację „Wieczór autorski w Grazu”. Na początku ją odrzucę, tak jak odrzuciłam wszystkie terminy, które pojawiły się w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, ale potem uderzy to we mnie jak grom. Poderwę się od stołu, szybko wrzucę na siebie coś reprezentacyjnego, przypomnę sobie, że nie muszę wyglądać dobrze tylko od pasa w górę, po raz pierwszy od miesiący zrobię lekki makijaż, wsiądę na rower, dotrę na miejsce krótko po 19:00, przejdę przez odgradzającą taśmę i od razu usiądę na podium. Tam mój puls się unormuje i będę patrzeć na twarze, w każdej z nich szukać znajomych cech, aż moderatorka mnie szturchnie i zapyta, czy chcę zacząć spotkanie, a ja powiem, ależ tak, oczywiście.

29 maja 2020 r.

Jesteśmy w domu przyjaciół po raz pierwszy od czasu, gdy to wszystko się zaczęło. Mieliśmy urządzić piknik, ale pogoda nie dopisała. Rozmawiamy, siedzę na kanapie, inni na leżakach lub na podłodze, ciągle wszystkim wpadam w słowo. To wyrażenie jest tak trafne! Spieszę się i potykam w rozmowie, prostuję i znów upadam, zawsze w środku czyjegoś zdania. Mam tak wiele do powiedzenia i nie potrafię się opanować.

31. Mai 2020

Ein paar Grazer Politiker und Wirte haben sich etwas ausgedacht, es heißt „Summer in the City“. Von „Gastromeilen“ ist die Rede, von „Partyzone für die ganze Familie“, von Streetfood, von Beachball, Tischtennis, DJ-Sets, Boccia. Die Innenstadt soll elf Wochen lang täglich von 14 bis 23 Uhr „pulsieren“, das Geld in die coronabedingt leeren Kassen einiger Geschäftsleute fließen. Der Artikel dazu im Gratisblättchen heißt „Zur Rettung der Nachtgastronomie“.

Meine Gedanken dazu, chronologisch geordnet:

Und wer rettet die Menschen vor der Nachtgastronomie?

Von wegen Bürokratie – was alles so möglich ist, wenn man die richtigen Leute kennt.

Corona-Krise als Chance für ein Umdenken in der Wirtschaft? Sieht gerade nicht danach aus.

Die Feuerwanzen in der Plastikwanne auf unserem Balkon, die die Kinder eingesammelt haben, erleben auch Summer in the City. Die Kinder haben ihnen in der Wanne einen kleinen Teich angelegt, Blätter, Stängel und Gurkenscheiben drapiert. Sie bewachen die Feuerwanzen und achten darauf, dass sie nicht abhauen, sondern sich amüsieren.

Bin ich womöglich zu miesepetrig, grundsätzlich ablehnend, weil etwas Neues entstehen soll? Ab einem gewissen Alter sollte man sich in dieser Hinsicht unter Generalverdacht stellen. Schauen wir mal, vielleicht wird es auch eine feine Sache.

27. Juni 2020

Liebe Lucia,

Symptom dieser Zeit brauche ich nicht zu werden, Symptom dieser Zeit bin ich, so, wie meine Tagebucheinträge: recht unmittelbare Wiedergaben aus meinem Alltag. Nicht im Knausgardschen Sinne, der Grad der Ästhetisierung ist in meinem Fall minimal, beschränkt sich weitgehend darauf, dass ich selektiere, welche Szenen ich beschreibe und welche nicht.

Aber ansonsten krebse ich auf dem dunklen Meeresgrund herum wie alle anderen nicht öffentliche Tagebücher schreibenden Menschen auch. Wie dir fehlt mir der Abstand zu den Ereignissen und noch wichtiger: zu mir selbst. (Dass ich viel zu oft den Doppelpunkt verwende, weist darauf hin.)

31 maja 2020 r.

Kilku polityków i właścicieli lokali w Grazu wymyśliło coś, co nazwali „Summer in the City“. Mowa o „ulicach ze stoiskami gastronomicznymi“, „strefach rozrywki dla całej rodziny“, ulicznym jedzeniu, piłce plażowej, tenisie stołowym, setach dj-ów, grze w bocce. Centrum miasta ma „pulsować“ życiem codziennie od 14.00 do 23.00 przez jedenaście tygodni, a pieniądze powinny wpływać do pustych na skutek pandemii kas niektórych biznesmenów. Artykuł na ten temat w darmowej gazecie nosi tytuł „Na ratunek nocnej gastronomii“. A oto moje przemyślenia dotyczące tej kwestii ułożone w chronologicznym porządku:

A kto uratuje ludzi przed nocną gastronomią?

Biurokracja, dobre sobie – wszystko jest możliwe, jeśli znasz odpowiednich ludzi.

Kryzys związany z pandemią szansą na zmianę sposobu myślenia w gospodarce? Aktualnie nic tego nie zapowiada.

Kowale bezskrzydłe zebrane przez nasze dzieci w plastikowej wanience na balkonie też mają lato w mieście. Dzieci zrobiły dla nich niewielki staw, udekorowały go liśćmi, łądogami i plasterkami ogórków. Pilnują owadów i dbają, aby nie uciekły i dobrze się bawiły.

Czy jestem może zbyt marudna, z gruntu nieprzychylna, bo ma powstać coś nowego? W pewnym wieku należy być pod tym względem wobec siebie podejrzliwym. Zobaczymy, może wyniknie stąd coś dobrego.

27 czerwca 2020 r.

Droga Lucio,

Nie muszę stawać się znakiem tego czasu, jestem nim, tak jak moje wpisy do dziennika: dość bezpośrednie relacjonowanie codzienności. Nie w stylu Knausgarda, stopień estetyzacji jest u mnie minimalny, ogranicza się w dużej mierze do tego, że wybieram, które sceny opisuję, a których nie. Ale poza tym pełam po ciemnym dnie morza, jak wszyscy piszący niepubliczne dzienniki.

Podobnie jak Tobie brakuje mi dystansu do zdarzeń, a co ważniejsze: do siebie. (Wskazuje na to fakt, że zdecydowanie zbyt często używam dwukropka).

W zeszłym tygodniu widziałam Marlene Streeruwitz w Domu Literatury w Grazu. Mówiła o swojej covidowej powieści w odcinkach i o tym, dlaczego

Ich betrete eine Bäckerei und der erste ausschließlich an mich gerichtete Satz an diesem Tag ist ein Befehl: „Maske hoch!“

„Sie haben Ihre doch auch unten“.

„Ich darf das.“

Mein erster Gedanke: „Willkommen in Deutschland.“

Offenbar denke ich bereits wie eine Österreicherin.

Und tue allen ÖsterreicherInnen Unrecht, weil diese vermutlich viel weniger in Stereotypen denken, als ich glaube.

27. Juli 2020

Hier im Lungau gibt es kein Corona, oder schon, aber nur in Witzen. Wenn einer aus der Bierflasche des anderen trinkt, den Fehler bemerkt und ruft, „Hast eh kein Corona, oder?“ (natürlich im Dialekt, aber den beherrsche ich nicht). Im Lungau küssen und „neideln“ sich die Alten ab wie eh und je, die Uroma kocht sich wie jeden Morgen ihren koffeinfreien Kaffee, als sei nichts geschehen, sie holt sich ihre selbstgemachte Marmelade aus der Speis, als sei die Welt die alte, sie sortiert ihre Tabletten und kämmt sich das schütterere Haar in dem kleinen Spiegel auf der Seitenwand des Kühlschranks, als schlitterten wir alle nicht gerade in eine ökonomische, soziale, vielerorts humanitäre Krise.

„Gut siehst du aus, Uroma“, sagte ich, als wir ankamen, und ich meinte es ernst. Mein jüngerer Sohn weint, weil er sich vor dem geschnitzten Krampuskopf neben dem Eingang fürchtet. Die Uroma beruhigt ihn und nutzt die Gelegenheit, ihm einen Kuss aufzudrücken.

Im Lungau, im letzten Zipfel von Salzburg, fast schon Kärnten oder eigentlich eher Steiermark, kann man sich nicht vorstellen, heimgesucht zu werden, vom Guten wie vom Schlechten, selbst den Strom brachte man den Bewohnern erst 1921. Hierher verirrt sich selten einer, nicht einmal ein Virus. Die wenigen, die ihn von einer Reise mitbrachten, sind namentlich bekannt.

Die Mur schlängelt sich durchs Tal, durch frühen Morgennebel fahren wir ihr entgegen, je näher wir ihrem Ursprung kommen, desto schmaler und wilder wird sie, die ersten Sonnenstrahlen schaffen den Durchbruch, am Parkplatz schon;

podobne we wszystkich miastach środkowych Niemiec.

Wchodzę do piekarni i pierwszym zdaniem skierowanym tego dnia wyłącznie do mnie jest rozkaz:

– Proszę założyć maseczkę na nos!

– Przecież pan też ma opuszczoną.

– Ja mogę.

„Witamy w Niemczech“, to pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy.

Najwyraźniej myślę już jak Austriaczka.

I jestem niesprawiedliwa wobec Austriaków, bo prawdopodobnie myślą o wiele mniej stereotypowo niż ja.

27 lipca 2020 r.

Tutaj w Lungau nie ma covidu, albo jest, ale tylko w żartach. Kiedy ktoś pije piwo z nie swojej butelki, zauważając pomyłkę, woła: – Przecież nie masz covidu? (oczywiście w dialekcie, ale ja go nie znam). W Lungau starsi ludzie całują się, dotykając się twarzami jak zawsze, prababcia każdego ranka robi kawę bezkofeinową, jak gdyby nigdy nic, przynosi ze spiżarni dżem domowej roboty, jakby świat był taki jak dawniej, układa tabletki i czesze przerzedzone włosy, przeglądając się w lusterku wiszącym na bocznej ścianie lodówki, jakbyśmy w ogóle nie pogrążyli się w kryzysie ekonomicznym, społecznym i w wielu miejscach humanitarnym.

– Dobrze wyglądasz, prababcu – powiedziałam na powitanie i mówiłam serio. Mój młodszy syn płacze, bo boi się wyrzeźbionej głowy Krampusa znajdującej się przy wejściu. Prababcia uspokaja go i korzysta z okazji, by dać mu buziaka.

W Lungau położonym w samym rogu landu Salzburg, już prawie w Karyntii, a właściwie raczej w Styrii, nie można sobie wyobrazić, że spotka tu kogoś dobro lub zło, nawet elektryczność doprowadzono tam dopiero w 1921 roku. Tutaj rzadko ktoś zagląda, nawet wirus. Ci nieliczni, którzy przywieźli go z podróży, są znani z imienia i nazwiska.

Mura meandruje w dolinie, jedziemy w jej kierunku spowici mgłą wczesnego poranka, im bliżej źródła, tym staje się węższa i bardziej nieposkromiona, pierwsze promienie słońca przebijają się przez chmury, na parkingu niebo staje

Vergangene Woche sah ich Marlene Streeruwitz im Literaturhaus Graz. Sie erzählte von ihrem Corona-Fortsetzungsroman und weshalb sie diese Form statt des Tagebuchs gewählt hat. Die ganze Zeit nur ihre eigenen Gedanken zu beschreiben, das habe sie nicht so interessant gefunden, sagte sie sinngemäß. In dem Moment bereute ich, keine Protagonistin oder Protagonisten erfunden zu haben, und jetzt lohnt es sich nicht mehr, fürchte ich. Ich brauche offenbar fiktive Charaktere, den Abstand zu ihnen, um etwas schöpfen zu können. Manchmal, in größter Not, etwa wenn ich Montagnacht noch immer vor einem leeren Dokument saß, versuchte ich, die aktuellen Ereignisse zu kommentieren, doch auch dazu war ich unfähig. Ich traue Standpunkten nicht mehr, vor allem meinen eigenen nicht. Standpunkte ermüden mich nur noch. Ich interessiere mich dafür, was sich zwischen Standpunkten, in der Differenz abspielt.

Du hast so viele Fragen gestellt, Lucia, und ich versuche, sie zusammenfassend so zu beantworten: Die mangelnde Poesie in meinen Tagebuchtexten selbst ist Symptom dieser Zeit, und rückblickend, mit zeitlicher Distanz, wird darin womöglich einmal so etwas wie eine Poetik erkennbar sein. Grundlegend für die Poetik ist darüber hinaus, dass wir als Chor zu lesen sind. In der Vielstimmigkeit liegt ein eigener Wert. Und das ist es, was ich als angenehm entlastend empfinde. Ich allein kann gerade gar nichts. Einzeln bin ich Symptom dieser Zeit, zur Krankheit dieser Zeit werde ich gemeinsam mit euch.

28. Juni 2020

Ich fahre für eine Lesung nach Fürth und lerne:

Die deutsche Polizei fordert an der Grenze alle Zugreisende auf, die Pässe vorzuzeigen, nicht mehr nur die dunkelhaarigen (ich lerne nicht, frage mich aber, ob das schon eine Folge der Debatte um Racial Profiling ist).

In Deutschland muss man 1,5 Meter Abstand halten, also einen Teenager-Elefanten.

Außer im ICE, da sind alle Plätze reserviert.

Im Zug muss ich eine Maske tragen.

Mit Maske im Gesicht kann ich nicht schreiben.

Der Bahnhofsvorplatz in Fürth ähnelt auf erschreckende Weise allen Bahnhofsvorplätzen mitteleuropäischer Städte.

Ebenso ähneln sich Familien, die sonntags durch Fußgängerzonen spazieren, in allen mitteleuropäischen Städten.

wybrała tę formę zamiast dziennika. Powiedziała mniej więcej, że ciągle opisywanie własnych myśli nie jest dla niej zbyt ciekawe. Pożałowałam wtedy, że nie wymyśliłam bohaterki lub bohatera, a teraz obawiam się, że to już się nie opłaca. Żeby móc coś stworzyć, potrzebuję oczywiście fikcyjnych postaci, dystansu do nich. Czasami, w nagłej potrzebie, jak w poniedziałek wieczorem, kiedy siedziałam przed pustym dokumentem, próbując komentować bieżące wydarzenia, ale tego również nie byłam w stanie zrobić. Nie ufam już różnym perspektywom, zwłaszcza własnej. Perspektywy już mnie męczą. Interesuje mnie to, co dzieje się pomiędzy punktami widzenia, w różnorodności.

Zadałaś tyle pytań, Lucio, spróbuję odpowiedzieć na nie w skrócie: brak poezji w moim dzienniku jest znakiem tego czasu, a patrząc wstecz, z dystansu, może kiedyś da się w nim rozpoznać coś na kształt poetyki. Fundamentalne dla niej jest poza tym to, że mają nas czytać jak wielogłos. Polifonia jest wartością samą w sobie. I właśnie to jest dla mnie przyjemną ulgą. Sama nic teraz nie zdziałam. Jestem znakiem tego czasu, chorobą tego czasu staję się razem z wami.

28 czerwca 2020 r.

Jadę do Fürth na wieczór autorski i dowiaduję się:

niemiecka policja prosi wszystkich pasażerów o okazywanie paszportów na granicy, już nie tylko ciemnowłosych (zastanawiam się, czy to już konsekwencja debaty o profilowaniu rasowym).

W Niemczech trzeba zachować 1,5 metra odstępu, czyli tyle, ile przestrzeni zajmuje kilkunastoletni słoń.

Z wyjątkiem pociągów intercity, w których wszystkie miejsca są zarezerwowane.

W pociągu muszę nosić maseczkę.

Nie mogę pisać z maseczką na twarzy.

Dziedziniec dworca w Fürth jest przerażająco podobny do innych dworców we wszystkich miastach środkowych Niemiec.

Tak jak rodziny przechadzające się w niedziele na deptakach są do siebie

nichts als babyblauer Himmel.

Familien überholen uns und kommen uns entgegen, manchen meine ich ansehen zu können, dass sie lieber in Kroatien wären, manchen meine ich ansehen zu können, dass sie eigentlich eh nichts Anderes brauchen als Österreich. Am Mursprung trinken wir das Quellwasser und kühlen wir unsere Füße und vergessen Corona endgültig. Seit Tagen habe ich keine Nachrichten mehr gelesen. Die Verlockung ist groß, ganz abzutauchen, mich innerlich abzukapseln von den Geschehnissen, alle Schrecken und Katastrophen draußen zu lassen.

Auf dem Weg zurück zum Parkplatz fällt mir ein, dass uns Helena Adler für diesen Nachmittag zu sich eingeladen hatte, aber so, wie ich nicht weiß, wieviel Tagebuch und wieviel Fiktion wir hier der Öffentlichkeit präsentieren, weiß ich nicht, wie ernstgemeint ihre Einladung ist. Was ich über Helena Adler sicher sagen kann, ist, dass Helena Adler nicht ihr richtiger Name ist. Was, denke ich, wenn jetzt alle Tagebuchschreiber in der Stillenachtgemeinde zusammensitzen, einzig ich nicht, und ich habe nicht einmal abgesagt? Hektisch krame ich mein Handy aus dem Rucksack, beinah fällt es mir aus den Händen und durch das Kuhgitter hinunter ins Regenwasser, im letzten Moment fange ich es auf und rufe Helena Adler via Facebook Messenger an, eine andere Kontaktmöglichkeit gibt es nicht, sie hebt ab.

a) Ich höre ihr den Groll sofort an. Den ganzen Vormittag habe sie gebacken und Salate geschnippelt, das Buffet warte, die Lampions hängen, aber niemand sei gekommen, niemand, und niemand habe es für nötig befunden, abzusagen.

b) Nava wer? Es dauert einen Moment, dann lacht sie, im Hintergrund höre ich Möwen schreien, der Wind stört die Verbindung. Nein, sagt sie, dass sei nur ein Schmäh gewesen, aber sie finde es süß von mir, dass ich anrufe, schönen Urlaub noch!

Kurz bin ich betrübt. Wir fahren zurück, flussabwärts mit der Mur. Aber die Geranien, die voll und schwer aus den Töpfen hängen, heitern mich ein wenig auf. Mir fällt nichts Beständigeres ein als Geranien vor den Fenstern. In eineinhalb Jahren feiern wir deinen 90er, Urli, sagt einer, und alle heben die Gläser. 1932 kam sie auf die Welt, hineingeboren in die Weltwirtschaftskrise.

Dass die Uroma die 90 schafft, ist das einzige, dessen ich mir gerade gewiss bin.

się jasnoniebieskie.

Mijamy rodziny, po których widać, że wołałyby być w Chorwacji, a po innych, że nie potrzebują niczego poza Austrią. Przy źródle Mury pijemy wodę, chłodzimy stopy i na dobre zapominamy o wirusie. Od wielu dni nie czytałam wiadomości. Odczuwam wielką pokusę, by całkowicie zniknąć, odizolować od wydarzeń, zostawić na zewnątrz wszelkie katastrofy i okropności.

W drodze powrotnej przypominam sobie, że tego popołudnia zaprosiła nas do siebie Helena Adler, ale tak jak nie wiem, ile dziennika, a ile fikcji ujawniamy, tak nie wiem, na ile poważne jest jej zaproszenie. Jedno mogę powiedzieć o niej z całą pewnością, że nie nazywa się Helena Adler. A co, jeśli wszyscy piszący dziennik siedzą teraz razem miejscu, gdzie powstała kolęda „Cicha noc”, tylko mnie tam nie ma i nawet nie odwołałam wizyty? Gorączkowo wyciągam z plecaka telefon, prawie wylatuje mi z rąk i wpada przez kratę do deszczówki, w ostatniej chwili łapię go i dzwonię przez Messengera do Heleny, nie ma innego sposobu, żeby się z nią skontaktować, odbiera.

a) Od razu słyszę pretensję w jej głosie. Całe przedpołudnie piekła i przygotowywała sałatki, jedzenie jest gotowe, lampiony powieszono, ale nikt nie przyszedł i nie uznał za stosowne jej o tym powiadomić.

b) Nava kto? Trwa to chwilę, a potem się śmieje, w tle słyszę krzyki mew, wiatr zakłóca połączenie. Nie, mówi, to tylko żart, ale uważa, że miło z mojej strony, że dzwonię, życzę miłego urlopu!

Przez chwilę jest mi smutno. Jedziemy z powrotem w dół rzeki Mury. Pełne pelargonie zwisające ciężko z doniczek trochę mnie rozweselają. Nie mogę sobie wyobrazić nic bardziej trwałego niż pelargonie w oknach. Urli, za półtora roku będziemy obchodzić twoje dziewięćdziesiąte urodziny, mówi ktoś i wszyscy podnoszą kieliszki. Przyszła na świat w 1932 roku, w czasie wielkiego kryzysu. To, że prababcia dożyje dziewięćdziesiątki, to jedyna rzecz, której jestem teraz

Ich werde lernen, mit der Ungewissheit zu leben, Drosten hin oder her. Vermutlich der dekadenteste Luxus, den ich und viele Menschen im Westen so lange genießen durften; die Illusion von Sicherheit und Planbarkeit. Mein jüngerer Sohn hat den Krampus domestiziert. Er setzt sich den Holzkopf auf und rennt damit durch die Stube. Mein Mann fotografiert ihn. Das Foto wird dann in einem Bilderalbum kleben, dass ich irgendwann einmal durchblättern und an den Sommerurlaub 2020 denken werde. Ich bin gespannt, was ich dabei empfinden werde.

pewna. Nauczę się żyć z niepewnością, Drosten czy nie Drosten*. Iluzja bezpieczeństwa i przewidywalności to prawdopodobnie najbardziej dekadentki luksus, którym ja i wielu ludzi na Zachodzie cieszyło się przez tak długi czas. Mój młodszy syn udomowił Krampusa, pomocnika Mikołaja. Zakłada drewnianą głowę i biega tak po salonie. Mąż robi mu zdjęcie. Znajdzie się ono potem w albumie, który kiedyś będę przeglądać i myśleć o wakacjach w 2020 roku. Jestem ciekawa, co będę wtedy czuła.

* Christian Drosten - niemiecki wirusolog, dyrektor Instytutu Wirusologii w szpitalu Charité w Berlinie, medialna gwiazda pandemii koronawirusa.